

№ 42 Rok XIX.

Dnia 3 (15) Października 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



ŚW. JADWIGA BŁOGOSŁAWIĄCA SYNA.

(Z obrazu Buch indera).

ŚW. JADWIGA

ŻONA HENRYKA BRODATEGO, KSIĘCIA NA SZŁĄSKU.

Było to wtedy, gdy zbierały się pod Lignicą mężne hufce chrześcijańskie dla powstrzymania nawały tatarskiej, co spłądrowawszy Ruś i Polskę, ku Szląskowi ciągnęła. Na krążanku wrocławskiego zamku gdzie dziś wspaniała katedra, siedziała niemłoda, poważnego i słodkiego oblicza niewiasta. Wkrótce rozwarły się podwoje i wszedł młody rycerz cały uzbrojony, a przyklękawszy na jedno kolano i schylając głowę przed poważną niewiastą, rzekł:

— Błogosław, matko!

Natenczas matka obie ręce w górę wzniosła i wyrzekła, błogosławiąc:

— Idź, walcz za wiarę i kraj!

Wyszedł rycerz, raz jeszcze do nóg matce się skłoniwszy, ona zaś z wyrazem nieograniczonej boleści padła na kolana przed wizerunkiem Chrystusa Pana.

W tej chwili pewnie w nadziemskim przeczuciu działała śmierć niedaleką syna swego, bo usta jej powtarzały machinalnie wyrazy: „dziewiątego kwietnia.” To też kiedy rzeczywiście dziewiątego kwietnia 1241 roku zginął pod Lignicą, ona już łzy i łkania macierzyńskiego serca stłumić umiała, a rzekła tylko pokornie: „Dzięki Tobie Panie, żeś mi takiego syna dał, który mi się nigdy nie przykrzył, a teraz na obronę wiary chrześcijańskiej, przeciw krzyżu Twego nieprzyjaciołom walcząc, głowę swoją położył. Ja duszę jego Tobie polecam, o którym nie wątpię, iżęś go ku Sobie przygarnąć raczył.”

Tą niewiastą była św. Jadwiga, matka Henryka, księcia Lignickiego, a żona Henryka Brodatego, jednego z najpotężniejszych książąt Piastowskiego plemienia na Szląsku, któremu dziejopisowie wiele dobrych ustaw przypisują, a który był takiej względności i łaskawości dla prostaczków, że gdy mu ubogi na skromnej misie jaj przyniósł, chętniej przyjmował, niż wielkie dary od panów i mawiał:

— Ten ubogi nędzniczek majątność mi swoją oddaje, czem sam żyw, niech tę wdzy ma pociechę, abym dar jego wdzięcznie przyjął.

Henryk był wnukiem owego Władysława, najstarszego syna Krzywoustego, który oddalony z kraju za nieczne przeciw braciom zamachy, dostał Szląsk na wieczną dla siebie i swoich potomków posiadłość. O mało co nie zabity wraz z Leszkiem Białym przez Pomorczyków w Głusawie, ocalał poświeceniem szlachetnego sługi, który osłoniwszy go własnym ciałem, prawie wszystkie zań odebrał razy. Schroniwszy się do siebie do Wrocławia, rozpoczął wkrótce z Konradem, księciem mazowieckim, krwawe zatargi o opiekę nad małoletnim synem Leszka. Wtedy występuje roztropności pełna, światobliwa żona jego. Uśmierza gwałtowność męzką, jedna zwaśnione umysły, układy pokoju ułatwia. Suma zjechała do Mazowsza, żeby przewodniczyć zgodzie i uwolnić męża z niewoli u Konrada.

W czasach tych, kiedy wojny między książętami zlewały krwią ziemię i wyludniały ją, Jadwiga rozprzestrzeniała w około siebie spokój i dobrobyt, goiła rany z ogólnych klęsk wynikłe, sprowadzała osadników do okolic wyludnionych, krzewiła nauki i rzemiosła. Szląsk oddychać zaczął swobodniej pod jej troskliwą opieką. Jakże bo ona troszczyła się o sprawiedliwość dla uboższego!... Wysłała na sądy swoich kapłanów, żeby kniutków od krzywdy bronili, łaskę dla nich wypraszała sama u starostów, a w czasie głodu nie ustawała w udzielaniu zboża i różnej żywności potrzebującym. Całe też jej wiano bogate na to poszło; dla siebie nie potrzebowała wiele, nosiła jedną, grubą, własnej roboty odzież, zimą i latem, dla umartwienia rada nawet po śniegu boso chodziła, aż jej się nogi pękały i raniły. Rzadko tylko, kiedy jako

księżna dać musiała posłuchanie jakim poważnym osobom, brała na siebie odzież nieco wyszukańszą, a w czasie uczt pościła, żywiąc się potajemnie najgrubszymi potrawami. Założywszy wraz z mężem klasztor w Trzebnicy dla pp. Cystersów, oblokła ich odzież, lecz ślubów zakonnych nawet po śmierci męża nie czyniła, nie chcąc sobie tamować obietnicą ubóstwa drogi do jałmużny; wszystkie jednak ustawy zakonne pełniła, prześcigając w nich jeszcze siostry zakonne. Miała zawsze najmniej trzynastu ubogich chorych, których opatrywała, zapominając często o sobie, nigdy o drugich. Niezrównaną słodyczą i roztropnością wpłynęła nierzad na burzliwy charakter Henryka, a łzami i prośbami odwracała go od popełnienia niesprawiedliwości.

W roku 1268, to jest zaledwie we dwadzieścia lat po jej śmierci, za zezwoleniem Klemensa IV papieża, który ją w poczet świętych policzył, zwłoki jej w Trzebnicy, gdzie była pochowana, w przytomności Ottokara, króla czeskiego, Henryka Probusa, wrocławskiego księcia, innych książąt oraz panów, uroczystem nabożeństwem po raz pierwszy uczczono zostały.

Dzień dzisiejszy właśnie, to jest 15-go października, kościół jej czci poświęcił.

BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA Z ZAKOPANEGO.

(Dalszy ciąg).

III.

Nazajutrz o świcie chłopcy cicho i ostrożnie wymknęli się ze swego pokoiku. Nie powiedzieli wczoraj gospodyni o zamiarze wycieczki do Morskiego Oka; wracając z Czarne-go Stawu, kupili tylko na drogę butelkę wina, parę funtów szynki i niewielki bochenek chleba, a teraz dołączyli do bagaży nieoceniczonego Eliasza i sprawiedliwie rozdzielili wszystko na dwie równe paczki.

— Trzeba napisać parę słów do gospodyni, że nie wrócimy na noc — odezwał się Tadzio.

Po co? — zapytał Janek dość porywczo.

— No, gotowa nas szukać, będzie dużo gadania.

— Hm, to prawda. To napisz: „Idziemy na dalszą wycieczkę, zabawimy dni parę.” Tak, dobrze. A teraz ostrożnie, cicho.

— Po co się z tem kryjemy?

— Po to, że nie mam ochoty słuchać rad, uwag i per swazyi. Co komu do tego, gdzie idziemy, co robimy? Tu przecież nie jesteśmy pod niczyją opieką, nie mamy obowiązku zdawać sprawy z naszych czynów i zamiarów.

Podniósł głowę i dumnie spojrzął na brata z góry, jak człowiek wolny, który żadnej władzy nie widzi i nie uznaje nad sobą. Tadzio się zarumienił; widocznie był jeszcze dzieckiem, bo samodzielność taka przerastała jego odwagę. Lecz Janek wie, co robi.

Wiedział naturalnie, brat przyznawał mu to w duszy, kąpiąc się w świeżem i lekkim powietrzu, w jasnych promieniach słońca, podziwiając piękność nieba, gór i ziemi. I jak im dobrze samym. Poco tu przewodnik? Czyż nie znają dokładnie drogi? Jeszcze też takiej drogi: przez Waks-mundzkę! Ale już tę wybrali, żeby stanąć na czas, posłuchali rozsądku.

— Pójdziemy przez Kozieniec — proponował Tadzio.

— Naturalnie — potwierdził Janek. — Stauntąd powitamy góry w blaskach wschodzącego słońca. Niema w całym Zakopanem piękniejszego widoku; gdybym sobie kiedy stawał tutaj wille, to tylko na Kozieńcu.

Mówił to z wzrastającym zachwytem na widok piękności natury, odsłaniających się w miarę, jak młodzi nasi podróżnicy wydobywali się z ulic, zamkniętych szeregami domków i willi, na bardziej otwartą przestrzeń. Minawszy szybko Chramcówki i ulicę Chałubińskiego, koło Muzeum po kładce przeszli potok i zaczęli wstępować na łagodną pochyłość Kozieńca. Widok stąd rzeczywiście był wspaniały: na zachód przestrzeń otwarta bez końca wzdłuż łańcucha wierzchołów i turni, zamykających widok od południa. W przezroczystym powietrzu góry występowały tak wyraźnie, iż widać było na nich każdą ścieżkę, każdy strumyk, rysujący ich stoki skaliste siecią jasnych gałązek. Tu i owdzie bieleły najwyraźniej śniegi, świt różowił szczyty, a skały zdawały się być aksamitne.

— Ach! — szeptał Tadzio — nic piękniejszego nie umiem sobie wyobrazić.

Janek płońcem okiem obejmował wnętrze otwartego w tem miejscu gniazda gór spiętrzonych, Kopę królowej, Magurę, Granaty, i Żółte turnie; liczył je, podziwiał, chciałby popłynąć nad nie lotem ptaka.

Nie będziemy deptali w tym roku tych ścieżek, nie będziemy spoczywali w niedostępnych jarach, patrząc w niebo i zapominając o świecie. Dziwny urok mają te góry... Nagle potrząsnął głową.

— Chodźmy — rzekł — tak nie można, nie po to idziemy.

Minęli Bystre uśpione i ciche, w Jaszczurówce wypili gorące śniadanie, orzeźwili się przyjemną kąpielą i podążyli dalej. Od Cyrli droga już przez las prowadzi, wydeptana co roku stopami podróżnych, lecz nie lękali się zbłądzić, tyle razy szli tędy. Tu nie widać nieba, gór ani słońca, tylko stare drzewa, olbrzymie głazy, splekane, porośnięte mchem zielonym i szarym, szmerzące strumienie i kwiatów kępy całe: niezapominajki, goryczki i storczyki, pełno barw i woni, aż żal mijać.

A poziomki!

Nie mogli oprzeć się pokusie, aby nie zbierać chociaż najpiękniejszych. Co za wielkość, smak, zapach!

Droga coraz inna i piękniejsza. Od Toporowych Stawów do Psiej Trawki, szli więcej niż godzinę. Była już 10-ta kiedy się zatrzymali na tym pierwszym wypoczynku.

— Wiesz, Janku, że my dzisiaj może nie dojdziemy? — zauważył Tadzio nieśmiało.

Janek ruszył ramionami.

— Pleciesz, jak niedołęga. Straciliśmy trochę czasu, wielka szkoda! Nie będziemy za to robić dłuższych wypoczynków. Slimak zaszedłby tędy w ciągu dnia na miejsce. Patrz, co ludzi za nami spieszy.

Istotnie, dwa dość liczne towarzystwa zbliżały się do schroniska. Na łączce w jednej chwili zrobiło się gwarno, otwierano butelki, śmiech, żarty, nawoływania rozległy się dokoła.

— Pojdźmy — szepnął Janek do brata.

Tadzio wstał natychmiast i skierowali się znowu ku drodze, gdy nagle otoczyła ich nowa gromadka.

— Janek! Tadzio! A wy tu co robicie o tej porze?

— Felek! Brońcia! Adaś! Ańdzia!

— Skądżeście się tu wzięli?

— Do Morskiego.

— Po Zosię?

— Naturalnie.

— Sami?

— Znamy drogę — zapewniał Janek.

— Chodźcie z nami. Weselej będzie!

Chłopcy nie mieli nic przeciwko temu, pożartowano wprawdzie trochę z ich zapasów i pospiesznego marszu, ale któżby o takie rzeczy obrażał się na przyjaciół? Odtąd istotnie, było tak wesoło, że nawet Tadek tylko od czasu do czasu marząc okiem rozglądał się po krajobrazie.

Na Waksmundzkiej odpoczywali niedługo, gdyż woleli popatrzeć z Suchej na Pieniny, które przy dniu pogodnym rysowały się wyraźnie. W ogóle widok z Suchej był prze-

pyszny, i Bronia tylko narzekała, że ją zwiedziono: wiedzieli przecież, że się obawia przepaści i każą jej przejść ścieżkę, parę stóp szeroką.

— Ależ tu przejechać można — perswaduje Felek.

— A gdybyś nawet spadła, pierwszy krzak by cię zatrzymał.

• C. Niewiudomska.

(d. c. n.)

STO LAT TEMU NAD NILEM.

(Dalszy ciąg).

III

Kiedy po bitwie pod Piramidami generał Dessex podążył ku Górnemu Egiptowi, aby ścigać chroniące się tam szczątki wojska Murad-Beja, wezbranie Nilu wstrzymało czasowo jego wyprawę.

Dopiero 7-go października 1798 r. stoczył we wsi Sedi-man walną bitwę, mając przeciw sobie znaczne jeszcze siły Mameluków i Fellahów. Jednak męstwo żołnierza francuskiego nie zawiodło nawet w tej dalekiej pustyni, rozproszony nieprzyjaciel zostawił na polu bitwy tysiące poległych, gdy Dessex stracił zaledwie 300 ludzi.

Po tem świetnem zwycięstwie dzielny generał posuwał się coraz dalej i zajął tejsze jeszcze zimy cały Górny Egipt aż do katarakt Nilowych. Wszędzie zaś, o ile lękano się jego waleczności, o tyle uwielbiano szlachetność, i gdy w Kairze nazwano Bonapartego sultanem „Kebir” to znaczy „ognistym” — Dessex otrzymał miano sultana sprawiedliwego.

Tymczasem rokosz wzniecony w stolicy przez tajemnych sprzymierzeńców Murad-Beja, szybko został poskromiony, a spokój i porządek pozwolił Napoleonowi odbyć dawno upragnioną wycieczkę w celu odszukania śladów starożytnego kanału, łączącego Nil z zatoką Arabską.

Wyruszył tam w grudniu w towarzystwie uczonych i oficerów, z małym tylko oddziałem wojska.

Wódz jechał powozem wraz z Bourrienne'm, Monge'm i Bertollet'em, przez piaski pustyni, gdzie po dokuczliwym upale dziennym nadeszła noc mroźna nieledwie.

Wielka ta pustynia, przez którą zwykły dążyć karawany z Suezu, Sinai i północnej Arabii, była przez szeregi wieków widownią tylu wypadków śmierci pielgrzymów, kupców i żołnierzy, że bielejące wśród piasków szkielety znaczyły wśród niej szlak dla podróżnych i były niejako drogowskazami.

Po dwudniowej wędrówce przebył Bonaparte i towarzysze jego śladem ludu Izraelskiego suchą, w czasie odpływu, odnogę morza Czerwonego, później w powrocie jednakże musieli nieco zboczyć z drogi, noc już zapadła, gdy zdążyli dojść do wybrzeża morskiego przypływ już się rozpoczął.

Rzucono się coprędzej naprzód, ale woda wzbierała tak szybko, że o mało wszyscy nie znaleźli śmierci w jej falach. Nieprzytomnego generała Caffarellego uratował trębacz Krettly, znakomity pływak, czem zyskał sobie względy naczelnego wodza które utrzymał i nadal swą prawością i odwagą obok szczerzej choć rubasznej nieco wesołości.

Ale i sam Bonaparte był w poważnem niebezpieczeństwie, co mu wszakże następnie nie popsuło humoru, owszem w żartobliwym tonie odezwał się do oficerów:

— Szkoda jednak, że nie zginał śmiercią Faraona, dałoby to bogaty materiał do rozmaitych opisów, a druga taka sposobność nie prędko się nadarzy.

Jeszcze jedną w tymże kierunku wycieczkę przedsięwziął naczelną wódz, aby upewnić się co do możliwości podą-

czenia kanałów morza! Śródziemnego z Czerwonem. Dzieła tego, jak wiemy dokonał Francuz Lesseps, za Napoleona III między 1860—1870 r. Tak mija zima z 1798 na 1799 rok, gdy otrzymano w Kairze wiadomości, że Wielka Porta wspierana przez Anglię, uzbraja dwie armie: jedną na wyspie Rodos, drugą w Syrii — w zamiarze rozpoczęcia wojny na wiosnę.

Bonaparte postanowił uprzędzić nieprzyjaciela i korzystając z pory zimowej, przebyć pustynię, zdobyć warowne miasta Syrii i zniszczyć wojska tureckie, przyczem porozumienie z Druzami oraz innym drobnym ludem gór Libanu miało mu być wielką pomocą w dostarczaniu żywności dla armii.

Znając zły ogólnie stan twierdz azjatyckich, wielki wódz marzył o szybkim za-
wojowaniu krain aż po rzekę Eufkrat, aby ująwszy w swe ręce wszystkie drogi do Indyi, przełamać wpływ Anglii, a równocześnie podnieść ojczyznę swą do najwyższej potęgi.

Wyprawa składająca się z dywizji generałów: Régnier, Lannes, Bon i Murat'a ruszyła z Kairu w pierwszych dniach lutego; towarzyszył im jeszcze, świeżo przez wodza utworzony regiment dromaderów, przeznaczony wyłącznie do ścigania Arabów.

W nowym tym rodzaju jazdy siedział na każdym wielbłądzie tyłem do siebie, dwóch jeźdźców odpowiednio uzbrojonych. Zważywszy siłę i wytrzymałość ich wierzchowców, mogli oni w tej krainie prze-
wyszyć nawet jazdę Murata.

Równocześnie przesłał też Bonaparte rozkaz admirałowi Perrée w Aleksandryi, by z trzema fregatami przewiózł na brzegi Syrii artylerję oblężniczą i potrzebną amunicję.

Mimo przyjaznej pory przeprawa przez pustynię była wielce uciążliwą dla żołnierzy; znoszą jednak bez szemrania wszelkie trudy, biorąc przykład z wytrwałości swego wodza.

Dnia 17-go lutego zdobytą została po krótkim oporze twierdza El-Arisz, broniona przez Ibrahim-Beja, który zmuszony ostatecznie do ucieczki, zostawił na łup Francuzom bogaty swój obóz.

Po tem pierwszym zwycięstwie, szły kolejno inne równie szybko i szezęśliwie.

Tak więc zajęto bronioną do ostatka przez Dżezzar-paszę silnie ufortyfikowaną Gazę, wraz z bogatemi jej zapasami wojennymi i żywnością. poczem przystąpiono do Jaffy, którą opasywał gruby mur z basztami.

Po kilku szturmach Bonaparte wezwał komendanta twierdzy do poddania się, lecz ten zamiast odpowiedzi ściał głowę parlamentarzowi, czem oburzony wódz wydał miasto po zdobyciu na 30-to godzinny rabunek swoim wojskom. Była to surowa kara, lecz ogólnie wówczas praktykowana, za tak dzikie pogwałcenie praw wojennych.

Po wzięciu Jaffy, została już tylko twierdza, po wzięciu której zdobywca mógłby się uważać za pana całej Syrii. Była nią starożytna Ptolemaida, zwana przez Krzyżowców Saint-Jean d'Acre, leżąca u stóp Karmelu. Jest to

jedna z najsilniejszych twierdz na świecie, jak od lądu, tak od morza dzięki swemu niedostępnemu położeniu.

Tutaj właśnie zamknął się Dżezzar-pasza z nieprzeliczonemi bogactwami i silną załogą, w oczekiwaniu mających rychło nadejść posiłków armii tureckiej i Sidney-Smith'a, który dostarczył mu już drogą morską inżynierów, kanonierów i amunicji.

d.) c. n.)

Jazda na Wezuwiusz.

Chociaż wulkan Wezuwiusz nie zdaje się na pozór zbyt odległym od Neapolu, jednak podróż na szczyt jego z miasta jest dość długa, a przytem bardzo urozmaiconą.

Przedewszystkiem jedzie się powozem około godziny, aż do miejsca zwanego „Casa Bianca,” (biały dom), skąd już żadną miarą nie można dążyć dalej inaczej, jak konno lub pieszo. Kiedy się odbędzie tę część podróży, która trwa także około godziny, bo droga bardzo stroma, a w niektórych miejscach ukazuje się ze szczeliny biały dymek, następuje część najprzyjemniejsza — jazda koleją linową do krateru, to jest otworu wulkanu.

Od stacyi patrząc wprost, kolej piętrząca się do góry wygląda jak drabina, prawie pionowo postawiona. Dwie szyny stanowią niby boczne słupy, a poprzecznica, szczeble. Wagon posuwa się na niej, jak winda, za pomocą liny, która go ciągnie.

Jazda w otwartym wagonie na szczyt góry, z widokiem na błękitne morze w oddali, sprawia wielkie wrażenie. Ale oto i górna stacya, zapach siarki rozchodzi się dokoła, dymu coraz więcej. Na prawo wśród brył skamieniałej lawy widać biały budynek, jest to obserwatorium, założone przez profesora Palmieri.

Brnąc przez kwadrans w popiele, dochodzi się nareszcie do krawędzi krateru,

z którego wydziela się gęsty obłok dymu i pary. Czasami po silniejszym wybuchu zobaczyć można wewnętrzną powierzchnię ścian, jakby wylaną szklistą glazurą, a w głębi wrzący, jasno-czerwony płyn — to lawa!

W tym roku lawa wypływa obficie, niż zwykle i zachodzi obawa większego wybuchu. Część drogi od stacyi kolei do obserwatorium zalana lawą i komunikacja przerwana. Pomimo to są jeszcze odważni podróżni, którzy podążają do głównego krateru, wyrzucającego ciągle kamienie i popiół. W nocy ogniste strumienie, tryskające z wnętrza góry, przedstawiają groźny, lecz i wspaniały widok.

Z ŻAKOPANEGO.



PRZEWODNICY TATRZAŃSCY.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

— Z chwilą, gdy przezwyciężyłem trudności połączone z budową „Latającej Ryby” i gdy za zezwoleniem naszego uprzejmego gospodarza, skierowałem wycieczkę naszą w te strony, ślubowałem sobie, że muszę odnaleźć jaką pamiątkę

jaciela na „Labiryncie”, i wiedząc gdzie chował zwykle swoje rękopisma, z łatwością je odnalazłem.

— Widok zwłok tylu topielców musiał być strasznym? — zagadnął baronet.

— W istocie! widok ten jest tak boleśnie wzruszającym, że nic nie byłoby wstanie skłonić mnie do powtórnego zwiedzenia rozbitego obrętu.

— Po tych słowach profesora, nie mam już ochoty oglądania szczątków „Labiryntu” — oświadczył sir Reginald.

— Ja też ciekawy ich nie jestem — przywodził pułkownik.

— Ja również zdania wasze dzielę — dodał porucznik.



JAZDA NA WEZUWIUSZ.

po zmarłym dla nieszczęśliwej jego matki; dzisiaj ślub mój spełniłem, ale zadowolenie to okupione zostało widokiem tak strasznych obrazów śmierci i zniszczenia, o jakich żaden chyba człowiek nie może mieć pojęcia i na opisanie których słów dobrać trudno!

— Urzeczywistnienie trzeciego celu wycieczki mojej na „Labirynth” leży przed wami w postaci tego małego pakietu. Jest to rękopis zawierający zapiski i luźne notatki, owoc mozolnej pracy i doświadczeń czynionych w ciągu lat trzydziestu w różnych gałęziach nauk przez oficera marymarki francuskiej, z którym łączyły mnie przyjazne stosunki. On wiedząc, jak wielką cenę przywiązuję do tego rękopisu, zapisał mi go w testamencie, o czym mi nieraz wspominał, nie przypuszczał bowiem, że papiery te wraz z nim samym zatoną w głębiach morza. Odwiedzałem razy kilka mego przy-

— Dobrze robicie — zauważył profesor — widok tej podmorskiej kostnicy mógłby was zniechęcić do dalszej podróży.

— A gdzież teraz się udamy? — zagadnął baronet.

— Świat cały stoi przed nami otworem — odparł Karliński — wybór miejsca od was zależy.

— Głosuję ze zwiedzeniem stron nieznanych i niedostępnych ludziom dotychczas — oświadczył baronet, a gdy towarzysze przyklasnęli tej propozycji, dodał: — zaczniemy od najtrudniejszego! Ponieważ teraz mamy dnię najdłuższe i porę najlepszą, urządzimy wycieczkę do bieguna północnego. Zapolujemy na zwierzęta, które dotąd twarzy myśliwego nie oglądały, cha, cha! — Zapalonym był myśliwcem ten baronet.

— Dobry projekt — zawołał profesor — sądząc, że nic

nam nie przeszkodzi pobić Nansena i uprzedzić Andrego, który w tym roku wybiera się tam w balonie starej daty. Zanim jednak stąd odpłyniemy, może dokonamy dzieła zniszczenia nieszczęsnego „Labiryntu”. Jak przekonaliście się sami, okręt jest tak uszkodzony, że o wydobyciu go i rozebraniu nie może być mowy. Przyszła mi zatem myśl, że lepiej może rozbić go ostatecznie, a zarazem skorzystać ze sposobności wypróbowania naszych przyrządów torpedowych. Czy zgadzacie się na to, panowie?

— Zgadząmy jaknajchętniej — zawołali trzej podróżni.

— Nie wart lepszego losu okręt, który pozbawił życia pięćset osób — zawyrokował Mildmay.

— Zabierzemy się do dzieła zaraz po obiedzie — oznajmił profesor.

Wstawszy od stołu pospieszyli wszyscy do kajuty sterniczej, gdzie Karliński objaśnił towarzyszom sposób zapalania min podwodnych, a następnie z pomocą pułkownika czynił na przodzie statku potrzebne przygotowania. Zajęły one dziesięć minut czasu, to jest, zdaniem profesora, dziesięć razy więcej, aniżeli czynność ta trwać miała w przyszłości. Gdy wszystko już gotowe było, podróżni wrócili do kajuty i podnieśli kotwicę „Latająca Ryba” dwukrotnie okrążyła „Labirynt”, jakby szukając miejsca do natarcia, następnie obróciła się przodem do zatopionego okrętu, a profesor przycisnął sprężynę. Ogień błysnął; rozległ się huk straszliwy i „Labirynt” zniknął bez śladu. Wstrząśnienie przy wybuchu było tak gwałtowne, że „Latająca Ryba” mogła być uszkodzoną, gdyby jej budowa mniej mocną była. Wskutek tego wstrząśnienia czterej podróżni upadli na podłogę w kajucie. Gorzej było w kuchni: kucharz spadł z posłania, gdzie odpoczywał po wydaniu obiadu, a Jerzy stłukł kilka cennych półmisek, co mu się pierwszy raz w życiu zdarzyło. Wypadek ten zmniejszył nieco jego zaufanie w potęgę tego czarownika, jak nazywał przed kucharzem profesora. Ale popłoch służby nie mógł iść w porównanie z przestraszeniem jakiego doznali kapitan i załoga małego kupieckiego okrętu, który właśnie przepływał nad miejscem wybuchu. Wszyscy odczuli silne wstrząśnienie i zrazu przypuszczali, że uderzyli o drugi jaki statek; sternik o mało nie postradał zmysłów, widząc w pobliżu słup wody, wznoszący się do wysokości kilkudziesięciu stóp w górę. Gdy trochę ochłonął z przerażenia, szedł do kajuty i zapisał w księdze sprawozdań, że tego a tego dnia, o tej a tej godzinie, pod takim a takim stopniem długości i szerokości geograficznej, przy najpiękniejszej pogodzie i spokojnem morzu dwumasztowy statek „Panama” doznał trzęsienia ziemi, przyczem o mało nie zatonął, zalany przez słup wyrzuconej w górę wody. Zeznanie to podpisał własnoręcznie w obecności świadków, a pokrzepiwszy siły i odwagę szklanką grogu, powrócił na swój posterunek.

VI.

W drodze do bieguna północnego.

Gdy już „Labirynt” został zniszczony „Latająca Ryba” posunęła się kilka mil ku północy, gdzie natrafiwszy na dogodne, piaszczyste łóżysko, opuściła kotwicę.

Po spokojnie przespanej nocy, podróżni zjadłszy śniadanie, zebrawali się w kajucie sterniczej. Profesor dla dokładnego zaznajomienia towarzyszy z używaniem przyrządów, postawił baroneta przy sterze, sam zaś śledził poruszenia jego ręki, gotów błęd każdy natychmiast naprawić. Zrazu podnoszono statek przez ostrożność bardzo powoli; na pięć sażni mniej więcej pod powierzchnią wody zatrzymano go, aby przekonać się, czy przypadkiem nie nadpływa w tem miejscu jaki okręt, który przy zetknięciu się z „Latającą Rybą”, mógłby uleść uszkodzeniu. Przeworność ta okazała się uzasadnioną, gdyż podróżni dostrzegli niebawem dno parowca, rozbijającego śrubą fale i ciągnącego za sobą kępę traw morskich. Dla uniknięcia niebezpiecznego dla obu stron uderzenia, podwodni żeglarze usunęli się natychmiast na bok. Obniżwszy bieg o dziesięć sażni, „Latająca Ryba” pomknęła

szybko i dopiero po powtórnem, dokładnem rozejrzeniu się dokoła, wypłynęła na powierzchnię morza.

Widnokrąg czysty był zupełnie; na południu tylko czernił się komin spotkanego parowca. Wiatr dał południowozachodni; wszystkie warunki sprzyjały napowietrznej żegludze, do której zaraz zaczęto czynić przygotowania. Roztworzono kanały, z których ściśnione powietrze uchodziło z szumem i po chwili „Latająca Ryba”, niby bańka mydlana lekko unosiła się na wodzie. Następnie część pary zbytecznej wypuszczono z kotłów, a gdy w odpowiednich przedziałach wytworzyła się próżnia, statek jak ptak wznosił się w powietrze. Skierowano go z pędem wiatru i podróż do bieguna północnego zaczęła się na dobre.

(d. c. n.)

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

— I my znajdziemy siłę by mu się oprzeć, odrzekł kneź zimno; na silnego znajdzie się silniejszy. Czyż nie mamy pewnego poparcia w cesarzu, który zawsze gotów Bolesławowi nogę podstawić, a jego margrafowie i teraz, jak słyszę, obiecują nam pomoc, czyż zresztą Czesi nie byli już w Krakowie?

— Co? zawołał Drahomir z oburzeniem, chcielibyście wiązać się z wrogiem, wprowadzać go we własne granice? Wroga mieszać do domowych kłótni? Nie, ojczu, wy tego nie uczynicie!

— Uczynię — odparł kneź stanowczo. Alboż Bolesław nie jest takim samym wrogiem naszym? Czyż jego przodkowie nie zajęli bezprawnie miejsca kneziów prawowitych? My przeciw mamy większe prawo do rządów, niż on, gdy mój pradziad zasiadł na stolicy książęcej, jego praszczur chodził gdzieś za pługiem i nie byłby przypuszczonym nawet do stołu książęcego.

— Nie zaprzeczycie jednak, ojczu, że teraz ten potomek kmieci jest mądrym królem, szanowanym od siasiadów, ukoronowanym przez samego cesarza, o nas zaledwie wiedzą ludzie, że żyjemy, bo przez tyle lat usuwając się od wszystkiego, daliśmy zapomnieć o sobie, a zapomnienie to największy wróg, ojczu; gdy raz ludzie powiedzieli, że coś przestało istnieć, już na to niema rady.

A więc pokażmy im, że żyjemy! zawołał kneź, że ród nasz istnieje jeszcze, pokażmy to!

— Czemu? — spytał Drahomir z goryczą. — Wywoływałem sporów domowych, wzywaniem wroga we własne granice? Ależ wtedy gorzej będzie, bo powiedzą, że cały nasz ród książęcy, to nie innego tylko... zdrajcy!

— Co? krzyknął stary kneź, a w oczach jego błysło złowrogie światło.

— Zdrajcy! powtórzył Drahomir dobitnie.

— I ty to śmiesz mówić! ty? — ryknął kneź, gotów prawie rzucić się na syna, ze wzrokiem błyszczącym, jak u wilka. Straszne było to nagłe przejście od spokoju do takiej gwałtowności, Drahomir jednak nie cofnął się, nie spuścił wzroku, stanął tylko z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

— Ojczu — rzekł spokojnie, pojmijcie — jam wasza krew — możecie mię zabić, ale nie ugiąć. To co myślę teraz będę zawsze myślał, i to samo powiem nawet w obec śmierci. Wybaczcie mi jeśli wam uchybił, lecz nie mogłem się powstrzymać, gdy usłyszałem, że ród nasz ma ponieść taką stras-

szną plamę na sobie. O błagam was, ojcze — zawołał z wubuchem, nie czyście tego dla mnie, dla siebie samego, dla czei ludzkiej, o którą każdy dbać powinien! Nie wiążcie się ze zdrajcami, bo ściągniecie na nas nieszczęście a biedę na kraj cały!

— Odejdź, odparł kneź twardo. Widzę, że w tobie niema ani kropli krwi dawnych kneziów. Stworzony jesteś aby być wiecznie sługą królewskim, poddanym jego! Od kiedyś chodził na ową wyprawę, dostrzegłem, że blask owego króla cię olśnił, chciałbyś także mu służyć wraz z innymi, zapominając z jakiej krwi pochodzisz. Tyś nie wart być moim synem...

Drahomir w milczeniu wysłuchiwał tych wyrazów, nie wyrzekłszy ani słowa usprawiedliwienia; stał wciąż z rękami skrzyżowanymi i słuchał; tymczasem kneź powoli się uspokoił, straszny błysk jego oczu gasnął stopniowo. Oblicze jego znów się stało kamiennem, zdawało się, że chłód od niego wieje.

Nastało milczenie zapaśników, którzy zbierają siły by na siebie uderzyć.

— Nie zaprzeczycie jednak, ojcze — ozwał się wreszcie Drahomir, że ci władcy, na których pójdziemy na czele motłochu, to są bracia nasi?

— Nie, stokroć nie, zawołał kneź, porywając się z miejsca, prędzej bym rękę sobie uciął, niżbym ją miał podać któremu z nich jak bratu, im, których łaska pana według woli, kolejno podwyższa lub poniża! Prędzej mię ziemia pochłonie.

— To dlaczego z czernią się wiążecie? — spytał wyniosłe Drahomir.

— Czerń, to co innego; ja wiem, że oni ze mną nie staną na równi, bo znają co to kneź!

— Jak chcecie ojcze, ale ja w powodzenie naszej sprawy nie wierzę. Nie bójcie się, nie cofnę się przed niebezpieczeństwem, nie będę odstępca. Spełnię waszą wolę we wszystkim, będę robił, co każecie dla podtrzymania upadającej sprawy, będę się bił za nią, zginę nawet, jeśli trzeba, ale w nią nie wierzę!

— Tak to zmieniły się czasy — ozwał się kneź głosem chłodnym jak zwykle — dawniej młodzi szli naprzód, a starzy ich powstrzymywali, dziś my starzy, stojący nad grobem musimy rozgrzewać serca młodych, bo niestety, ostygły już one dla śmiałych czynów.

— Daremnie mię oskarżacie, ojcze — rzekł Drahomir cóżem ja winien, że widzę, gdy wy wszyscy jesteście ślepi? Bo spojrzmy, kto tu stoi naprzeciw siebie? Z jednej strony kapłan Borun, starzec zniedołężniały i zgębiony, który lat kilkadziesiąt w puszczy przeżył, i świata bożego nie widział; kilku jeszcze podobnych jemu; wy ojcze, coście również w gródki swoim tylko żyli, usunięci od spraw szerszych, no i ten Masław. Ale sami bogowie wiedzą jakie on knuje zamiary, co wszakże pewna, że nie dla nas pracuje, a dla siebie.

Za sobą prowadzi motłoch ciemny, który oszołomił obietnicami powrotu starej wiary i starego porządku. A naprzeciw?

Naprzeciw stoi król, którego słowo poruszy tysiące, naprzeciw stoją wojewodowie i wojownicy ich, wyćwiczeni w długich bojach, władcy, kmiecie, cały ten spokojny lud rolniczy, który nie chce gwałtów i bezprawia.

W tej chwili odgłos rogu, rozlegający się pod oknami przerwał rozmowę. Kneź klasnął w ręce; wszedł sługa.

— Co to? spytał kneź krótko.

— Drużyna nasza powróciła z wyprawy, odparł sługa z pokłonem.

Na podwórzu w istocie wjechał oddział zbrojny; na czele znajdował się dowódca, w pośrodku zaś widać było jakiegoś jeńca.

Widzę, że przywożą ze sobą połów, rzekł kneź, obaczmy co to jest.

To rzekłszy, wyszedł na podsienie, Drahomir zaś sam pozostał w izbie i pogrążył się w posępnem zamyśleniu; jego oblicze, zwykle noszące wyraz śmiały i otwarty, pokryło się te-

raz chmurą, jak gdyby przed jego okiem wstawały wcale nie wesołe obrazy.

— Ha, niechże i tak będzie, rzekł w końcu sam do siebie, ginąć to ginąć!

Kneź stanął na podsieniu, czekając, by oddział się zbliżył. Wszyscy jego ludzie byli dobrze uzbrojeni, na pięknych koniach, strojeni w rysie kołpaki z czarnymi piórami, oraz w bogate płaszcze — wszyscy byli młodzi, rośli i silni jak dęby — bo kneź umiał dobierać sobie ludzi.

Dowódca podjechał, a zsiadłszy z konia, stanął przed kneziem, by mu zdać sprawę z kilkudniowej wyprawy w okolicy Kiele. Ludzie z jego oddziału pozostali nieco dalej.

— Co nowego, Leszku — spytał kneź półgłosem.

— Spełniliśmy wszystkie wasze zlecenia, miłościwy kneziu, posłaliśmy się aż ku Kielcom. Dobrogost zbiera drużyny zbrojne, i wysłał nowych robotników na górę Łysą, Masław zaś porozysłał różnych swoich podwładnych, by podburzali lud po siołach, a za kilka dni mają się wszyscy zjechać tutaj na naradę.

— Kto? — spytał kneź.

— Kapłan Borun, Masław i reszta.

— Dobrze — rzekł kneź spokojnie — cóż to za jeńca przywieśliście?

— A ot, spotkaliśmy w puszczy tego Niemca, to i przywieśliśmy go tu; ale nie można od niego się dobić, bies go chyba pojmie — odrzekł przywódca.

— A no, dajcie go tu! — rozkazał kneź.

— Hej, Mirek! — krzyknął dowódca — a podaj no tu tego psa niemego!

Natychmiast przyprowadzono Niemca przed knezia. Był to Kurtz, ale Kurtz o połowę zmniejszony, tak go błakanie się po puszczy wychudziło. Błady był, nogi się chwiały pod nim; gdy spojrzał w oblicze knezia, tak się przeląkł, że padł na kolana, bełkocząc coś po niemiecku.

— Ktoś ty? — spytał kneź ostro.

Niemiec znów wybelkotał coś niezrozumiałego, a całą drużyną wybuchła huczynym śmiechem.

— On biedny, zaniemiał — rzekł jeden.

— Język ma przyrośnięty, trzeba mu go poderznąć — ozwał się drugi.

— Pokaż, może masz miasto nóg kopyta? Możeś ty czarownik?

— Milczec tam! — krzyknął kneź. A obróciwszy się do służby, rzekł:

— Odprowadzić tego Szwaba do izby, gdzie jest ów rycerz królewski, nie mamy czasu zajmować się nim.

Dwóch pacholków wzięło Kurtza i poprowadziło go w głąb domu. Oworzywszy drzwi od oznaczonej izby, wpełnili tam jeńca, ten znalazł się w obecności Ładona, który zdziwiony był niepomalu tym towarzyszem, spadłym jakby z nieba.

Ale Kurtz domyślił się wkrótce, że ma przed sobą nie jakiegoś strasznego poganina, lecz rycerza, człowieka podobnego innym, zawołał radośnie:

— Chwała Bogu, że wreszcie spotykam chrześcijanina a nie tych okrutnych pogan; bo wszak prawda, jesteście chrześcijaninem, rozumiecie po niemiecku?

— Tak, jestem chrześcijaninem i więźniem jak wy — odrzekł Ładon — pochodzę z dworu króla i należę do jego orszaku, ale skądże wyście tu się wzięli?

— Długa to historia, potem ją wam opowiem, bo teraz już sił mi nie staje. Dzięki niebu, że przecie znalazłem kogoś, z kim się rozmówić potrafię — odrzekł Kurtz, siadając na ławie — ci przekłeci Słowianie, bodaj ich choroba zdusiła... Ale wy nie gniewajcie się — dodał natychmiast niepokojnie; — człowiek może już stracić cierpliwość nareszcie, kiedy cztery dni nawłóczył się po puszczy, a nadobitek popadł jeszcze w ręce zbójów...

— Musiało wam być ciężko — rzekł Ładon; — w naszych puszczach tylko człek obyty z niemi może nie zbłądzić; są tak dzikie...

— Co to dzikie, co to dzikie — zawołał Niemiec w uniesieniu, te przeklęte puszcze! tylko szatan jeden może po nich wędrować! Jeść niema co i jeszcze do tego różne strachy się ukazują. Nie, tylko w przeklętym, słowiańskim kraju znajdują się podobne puszcze, u nas takich niema! Ale wy się na mnie nie gniewacie, że tak mówię? — spytał z niepokojem.

— Bynajmniej — odparł Ładon. — Skądże przybywacie?

— Z Kielc, z królewskiego dworu, właśnie tydzień jak go opuściłem, bo trzeba wam wiedzieć, że dworzanin margrafa Hermana. Po was też zaraz poznałem, że nie należycie do tych zbójów i pomnę nawet, że coś tam gadano o waszem zniknięciu.

— Więc przybywacie z Kielc, ze dworu naszego króla? — zawołał Ładon. — Powiedźcie co tam się dzieje.

— Cóż ma się dziać? — odparł Kurtz. — zabiera się na wojnę, król już pewnie wyruszył nawet, bo gdy opuściłem dwór, drużyny zbrojne ścigały zewsząd.

— Wojna, a mnie tam niema! — zawołał Ładon. — Przekłeta niewola; zdaje mi się, że ściany te mię duszą! Więc powiadacie, że król już wyruszył? — dodał po chwili.

— Tak sądzę — odrzekł Kurtz.

— Pomyśleć tylko, że moi towarzysze może już tam gdzie się biją pod okiem naszego króla, a ja tu siedzę jak przykuty! — rzekł Ładon wzburzony, stając przy oknie i patrząc roztargnionem okiem w dolinę — kiedyż to się skończy, i czy się skończy? Dwa tygodnie już tu siedzę; można oszaleć

— Ba, ba, gdy wy się troszczycie, to cóż mnie pozostanie? Chyba bić głową o ścianę, lub rzucić się z tej oto skały. A jednak ja nie tracę ducha, byle mi tylko jako tako jeść dawano, byłbym spokojny, a gdyby tak jeszcze dzban piwa, to już by mi było zupełnie lekko na duszy. Biedny mój pan tylko musi się obchodzić bez swego wiernego Kurtza. Czasem gdy na pół dnia się oddalę, to już pyta o mnie, a teraz ot już tydzień jest bezemnie. Ta myśl najbardziej mię dręczyła, gdy się błąkał po puszczy; mówiłem też owym psom słowiańskim: Odprowadźcie mię do margrafa, on się bezemnie obejść nie może. Ale gadaj im, wszystko jedno co rozmawiać z drzewami w lesie.

(d. c. n.)

Niebo w październiku.

W październiku i listopadzie mało kto po zachodzie słońca spogląda na niebo, najczęściej powlekają je obłoki lub zasłania mgła. Nie ustają jednak narzekania na krótkość dnia, którą w tym miesiącu, zanim się do niej przywyknę, odczuwamy najsilniej. Ostatniego miesiąca długowieczność dnia wynosić będzie zaledwie 9 godzin 34 minut, a słońce o południu wznosić się będzie nad poziom zaledwie 23° 35'. Z wielkich planet tylko czerwony Mars zaczyna przyświecać noca-

mi, inne podróżują po niebie razem ze słońcem. Za to coraz świetniej świecą gwiazdy, mianowicie gwiazdozbiór Oriona i Syryusz.

Pełnia księżyca przypada 20-go.



ZE ŚWIATA.

Dzielny pies.

Psy skaczące coraz bardziej zaczynają się rozpowszechniać po cyrkach. Ale zdolność ich w tym kierunku może być daleko pożyteczniejszą użytą. Dowodem tego jest przedstawiony na rycinie w chwili wykonywania skoku pies pevien, neufundlandczyk, w mieście Saint-Malo we Francji. Pies ten skacze z wysokości 10 metrów, (około 24 łokci), a w wodzie pograża się na dwa metry. Jest to pies młody jeszcze, bo urodził się w sierpniu r. 1894, wabi się „Tryton,” a do tak wielkich skoków przyczyniono go powoli. Pocziwie to zwierzę jest prawdziwym stróżem ludności nadbrzeżnej. Żaden strażnik stacyi ratunkowej nie może się poszczycić tylu wypadkami uratowania tonących, co Tryton. A umiejętność skakania ułatwia mu zadanie, gdyż brzegi w S. Malo i okolicach są wysokie i spadziste. Tryton nie namyśla się nigdy, skacze w wodę z bulwaru a nawet z murów fortu. Nie zdarzyło się nigdy dotąd, aby ktoś w jego obecności utonął.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3¼ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Św. Jadwiga, żona Henryka Brodatego, księcia na Szląsku (ryc.) — Bez przewodnika (z ryc.) — Sto lat temu nad Nilem. — Jazda na Wezuwiusz (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Niebo w październiku. — Ze świata (z ryc.) — Dodatek: Imięcinny zając (z ryc.) — Józio opiekunem, komedijka w jednej odsłonie. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Kamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

WIECZORY RODZINNE



IMIENINY ZAJĄCZKA.



ciężynką het! przez pole biegła raz myszka mała i płakała, narzekała. Napotkała wiewiórkę po drodze, a ta pyta: „Cóż ci to, niebodze, że tak myszko na głos lamentujesz, oczka sobie łzami psujesz?” — „Jakże nie mam płakać, lamentować, kiedym oto siostrzyczkę straciła! taka była szareńka i miła, miała ząbki drobnutkie i ostre, we dwie razem miałyśmy się chować, wczoraj jeszcze ze mną swawoliła, ale dzisiaj gdzieś znikła od rana. Wszędobylsia, siostrzyczka kochana! Pewno sowa porwała mi siostrę!...”

A wiewiórka do myszki przystała i z nią razem już biegła przez pole i płakała także, narzekała, lamentując na swoją niedolę. Spotkał je tak króliczek; zgubił w śniegu trzewiczek, chcąc je obie dogonić: — „Skąd wam, o co łzy ronić?” — „Oj biada! biada! biada! — wiewiórka odpowiada — jak mi nie lamentować: z siostrą się miałam chować, taka była rudeńka i miła, Wszystkogryzia, siostrzyczka kochana, była w kitkę bogatą ubrana, o orzeszki ząbki wciąż ścierała, wczoraj jeszcze ze mną swawoliła, ale dzisiaj gdzieś znikła od rana... Pewno kania siostrę mi porwała!”

A króliczek stanął z niemi trzeci i tak płacze, lamentuje srodze, że mu łza za łzą na wąsy leci, aż spotkali jeżaczka, po drodze. Zaś jegomość pan jeż, to był kolczaty zwierz; miał on ryjek malutki, serce czułe na smutki, gdy zobaczył królika jak płakał serdecznie, zaraz się doń przymyka: Czego?” pyta się grzecznie — „Oj, biada! biada! biada! — królik odpowiada — jak mi nie lamentować: z bratem się miałem chować — a braciszek mój, Białopuszek, miał parę długich uszek, oczka miał jak rubiny, pyszczkiem rozciętym na dwoje ruszał i stroił miny... oj smutneż życie moje, bez niego smutne życie: gdzieś przepadł od godziny, pewno lis porwał go skrycie”.

— E! e! płakać niema czego! A więc co nowego?

Pod miedzą, tam przy łące, gdzie mieszkają zajace, już od godziny dziś sprawia imieniny Szaruś, nasz sąsiad miły! Miał płakać, lamentować, pójdźmy mu powinszować — śpieszmy się co siły”.

Jak jeż radził, zrobili: wszyscy się zawrócili, gdzie pod miedzą, przy siwej tarninie, mieszkał sobie zajaczek w kotlinie, a ten widząc, że suną tu goście, wyszedł czekać ich grzecznie na moście, wyszedł witać przed bramą, pod krzaczkiem, biały krawat wdziawszy z szarym fraczkiem.

Pierwsza myszka dobiegła do niego i zaczęła winszować w te słowa: „Życzę, życzę wszystkiego dobrego. Niech pan Zajac zdrowo się nam chowa! i niech nigdy nie schwyci go sowa, jako moją siostrzyczkę niebogę, Wszędobylsię, po której z rozpaczny we łzach się utulić nie mogę!”

A zajaczek tak zastrzygł uszyna, że aż myszka nie wie co to znaczy: — „Więc już biednej Wszędobylsi niema! żal mi, żal mi, że nie jest inaczej..”

A po myszce zaraz przystępuje wiewióreczka i tak mu winszuje: „Sto lat życia, pomyślności życzę szczerze jegomości; niechaj mu się wszystko wiedzie, niech nie będzie nigdy w biedzie i niech nigdy się nie spotka oko w oko z kanią srogą, co to lata tak wysoko, dziś mi wzięła siostrę drogą „Wszystkogryzie”, me kochanie, pewno zjadła na śniadanie.

A zajaczek aż tupnął nóżkami i pokręcił noskiem na te słowa — ale jakoś nie zalał się łzami, a i mina nie grobowa: „Więc przepadła Wszystkogryzia luba? szczerze szczerze boli mnie jej zguba...”

Teraz królik się zbliżył, przed szarym jegomością skłonił głowę z godnością, nie bardzo się uniżył, bo myślał: „Jeszcze czego! wszak on moim kolegą, choć dziś w białym krawacie — i zagadnął go: Bracie! ja słów mych nie liczę, prosto z serca ci życzę, byś był wesół, zdrow, tłusty, miał po uszy kapusty, i by wszystkie szaraki miały srogi los taki, który dzisiaj biednego spotkał brata mego. Wszak znałeś Białopuszka? nie kładł on się do łóżka, nie znał co to choroba — a dziś, nieszczęsna doba! nie ma go już na świecie, lis go zdusił w sekrecie

(d. n.)

JÓZIO OPIEKUNEM.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

(Dokończenie).

SCENA 6-ta.

MARCYSIA (*wchodząc*). Jestem już, jestem! Co się tu stało takiego?

Józio. Moja Marcysiu, uspokój Helenkę, bo ja sobie rady dać z nią nie mogę.

MARCYSIA. Doprawdy? No, no, jakoś początek opieki nie szczególny.

Józio (*zmieszany*). Trudno wymagać, żebym wciąż stał nad takim niezdolnym dzieciakiem. Bo to maże się i maże bezustannie, a ja nie mam czasu. (*Bierze książkę i czyta z zajęciem*).

MARCYSIA. Heluniu, nie trzeba płakać, to nieładnie! Taka duża panienka grymasi, jak małe dziecko...

HEL CIA. Bo ja nie chcę tutaj zostać!

MARCYSIA. A gdzież Helcia pójdzie? W całym domu niema nikogo, wszyscy wyjechali, więc sama chodzić będzie po pokojach? Lepiej tutaj siedzieć i bawić się grzecznie, tyle tutaj jest książeczek z obrazkami i laleczka leży w kąciuku, biedna płacze, że Helenka o niej zapomniała. (*wyjmuje lalkę z za komody*).

HEL CIA (*biorąc lalkę*). Daj ją, daj Marcysiu! Biedna moja laleczka! Ona dzisiaj całą noc przeleżała na podłodze za komodą, a rano zapomniałam ją ubrać, umyć i uczesać.

MARCYSIA. A widzisz, Heluniu, to trzeba teraz zrobić.

HEL CIA. E, teraz nie będę jej przebierać, już jest późno, niedługo spać położę, tymczasem pokażę jej obrazki, w tej dużej książce, przysuń mi Marcysiu krzesiśko do stołu.

MARCYSIA (*przysuwając krzesło*). O! tak niech Helenka pocieszy biedną laleczkę, bo jej musi być bardzo przykro, że tak długo leżała za komodą.

MARCYSIA (*zwracając się do Józia*). Paniczu, ja odchodzę, bo tam roboty! Ay, proszę o Helence pamiętać.

Józio (*przestaje czytać*). Dobrze, dobrze, możesz być spokojną, Marcysiu, pod moją opieką nic jej się złego nie stanie.

MARCYSIA. Kiedy panicz jak zacznie czytać, to zapomina o całym świecie; doprawdy, ja się boję odejść.

Józio. Idź, idź, Marcysiu, już więcej czytać nie będę.

MARCYSIA. Jeżeli tak, to mogę odejść. (*wychodzi*).

SCENA 7-a.

(*Helenka z zajęciem przegląda książkę, Józio przez chwilę stoi w milczeniu przy oknie*).

Józio (*wychyla głowę za okno*). Antek! Antek!

ANTEK (*wbiega po chwili*). Panicz! panicz! co ja znalazłem!

Józio. Co takiego, mów prędko.

ANTEK. Nie powiem, paniczu, nie powiem! niech panicz idzie ze mną to pokażę.

Józio. Nie mogę w żaden sposób odejść, bo w domu niema nikogo i Helenka jest pod moją opieką.

ANTEK. Na chwileczkę może panicz przecież odejść, pójdziemy tylko za ogród, tam gdzie koszą łąkę.

Józio. Nie mogę.

ANTEK. Ech! Ja powiadam, że panicz może odejść, bo to panienka taka maleńka, żeby nie mogła sama chwilkę posiedzieć? Przecież długo panicz tam nie będzie, pokażę tylko znalezione w trawie gniazdko, i takie małe jajeczka.

Józio. Gniazdko znalazłeś?... Ach, żebym mógł odejść!

ANTEK. Niech panicz idzie prędzej, panienka siedzi sobie spokojnie, nic jej się nie stanie. Nasza Maryśka ma dopiero dwa lata, a bardzo często sama jedna w domu zostaje.

Józio. Chodźmy więc; za kilka minut będę przecież z powrotem (*wybiegają*).

HEL CIA (*wstaje szybko z krzeselka*). Poszedł sobie! To bardzo dobrze! i ja też sobie pójdę; dogonię jeszcze ciocię i mamusię i pojedę z nimi do Górek. Laleczkę wezmę też z sobą (*wychodzi*).

SCENA 8-a.

MARCYSIA (*wchodzi drugimi drzwiami*). Ani Józia, ani Helenki niema. Zapewne poszli do ogrodu. Żeby tylko Helenka nie jadła owoców; jest niezdrową, mogłoby jej to zaszkodzić!... Ale przecież Józio ma tyle rozumu, żeby jej nie pozwolił; chociaż ci chłopcy!... (*wzrusza ramionami*). Czy oni umieją obchodzić się z małymi dziewczynkami? Każdy z nich tylko figle i psoty ma w głowie... Ale muszę pójść do ogrodu poszukać Helusi, bo z pewnością ten wielki jej opiekun drażni się z nią, jak z pieskiem lub kotkiem. O! ja wiem, że on to lubi!... (*Chce wyjść, we drzwiach spotyka się z Józiem*). Gdzież Helenka?

Józio. Obrazki przegląda.

MARCYSIA. Gdzie? gdzie?... bo ja nie widzę!

Józio (*zmieszany rozgląda się po pokoju*). Pozostawiłem ją tutaj; wyszedłem tylko na chwilkę...

MARCYSIA. A ja tu już dosyć dawno jestem i ani panicza, ani Helenki już nie zastałam.

Józio. A to niezdolna dziewczyna! Zaraz musiała wyjść z pokoju!

MARCYSIA. Ładnie się panicz opiekował! Któż teraz wie gdzie poszła? Na dworze już chłodno, rosa, ziemnia się już, dziecko może się zaziębić... Co pani na to powie?...

Józio. Moja Marcysiu, moja jedyna! Idź, poszukaj jej! Ja tymczasem, będę tu siedział i czekał, może sama powróci, to ci zaraz dam znać.

MARCYSIA. A gdzież ja jej będę szukała?

Józio. Może jest w ogrodzie. Moja Marcysiu, poszukaj tylko! pamiętaj, nie mów o tem nikomu, bo śmieliby się ze mnie.

MARCYSIA. Żeby tylko co złego z tego nie wynikło! Helcia jest bardzo nieuważną, może wpaść do stawu.. Biegnę jej szukać.

SCENA 9-ta.

JÓZIO. Co ja też narobiłem! Niepotrzebnie usłu-chałem rady Antka... (*chodzi po scenie niespokojny*). Żeby tylko Marcysia zaraz znalazła tę nieznośną dziewczynę. Wandzia, Zosia, Lucia nie dadzą mi chwili spokoju, a szczególnie Lucia!... Jakże długo Marcysia nie wraca!... Co jabym zrobił, gdyby się Helence co złego stało?... Pójdę sam, będę szukał w każdym zakątku, wszędzie, wszędzie!... (*Wbiega Lucia z kapeluszem, ciągnąc za sobą wystraszoną Helcię*).

LUCIA (*kłaniając się*). Moje uszanowanie panu opiekunowi!

JÓZIO. A to co ma znaczyć?... Skąd wzięłyście się razem tutaj?

LUCIA. Cóż w tem dziwnego? Przyszliśmy oddać się w twoje opiekuńcze ręce.

JÓZIO. Zaczynasz już żartować ze mnie, to nieładnie!

LUCIA. A czy to ładnie, tak się opiekować, jak ty Helenką? Szczęście całe, że nie zastałyśmy nikogo w Górkach.

JÓZIO. Gdzież więc była Helenka?

LUCIA. Już blisko lasu; gdybyśmy kwadrans później wracali, z pewnością błdziłaby po lesie.

JÓZIO. Więc ona wybrała się do Górki?

HEL CIA. Boś mię samą zostawił.

LUCIA (*śmiejąc się*). Ha, ha, ha! to mi opiekun!...

JÓZIO (*chwytając się za głowę*). Dajcież mi spokój! Nie chcę już nigdy być opiekunem!... Oj, będę ja miał od was!...

Nie...ka.

DŁUG WdziECzności

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Gdy wozy, wiozące nieszczęśliwych niewolników, zatrzymały się wreszcie, noc panowała już głęboka. Janek nie wiedział, ani nie widział, gdzie się znajduje; trzymał się ręki swego towarzysza, zsunęli się razem z wozu na ziemię. Przy bladym, migocącym światełku niewielkiej latarki, którą trzymał człowiek ogromnego wzrostu, ubrany na wpół po turecku, w turbanie na głowie, dojrzał nareszcie Janek kilkanaście postaci nędznych i nieszczęśliwych, jak i oni byli; domyślił się, że to również niewolnicy kupieni na jarmarku. Oswoiwszy się z ciemnością, zobaczył, że stali wszyscy przed jakimiś drzwiami otwartymi, okutymi w żelazo, które prowadziły w głąb czarną i jak mu się zdawało, przepaścistą — przybyłych niewolników zapędzano do tego lochu. Janek drżał na całym ciele, ścisnął silnie rękę swego towarzysza.

— Zimno mi — szepnął.

Noc była jednak gorąca i parna, jak bywają noce na południu, ale biedny chłopiec nie umiał sobie inaczej

wytlómaczyć tego drżenia wszystkich członków, po których przebiegał dreszcz grozy i niepewności. Przyszła w końcu kolej i na nich, wpędzono ich wraz z całą ciżbą we drzwi otwarte. Tu w ciemności zeszli po kilku schodach wąskich, chwiejnych i spadzistych. Towarzysz Janka uczuł, że ten drży coraz silniej i zaledwie stąpa, ujął go mocno wpół i zaniósł prawie. Biedne dziecko, przytulone do pocziwej piersi wieśniaczki, zapłakało gorzko.

— Cicho, cicho, dziecino, Bóg nas nie opuści! Nie traćmy nadziei, ufajmy Mu — pocieszał wieśniak i krzepił Janka.

On też uspokoił się — poszukał ręki swego opiekuna i ucałował ją gorąco.

Strażnik z latarką wszedł na końcu i przybyli ujrze-li w tym słabym blasku dużą, sklepioną, wilgotną izbę — jeżeli izbą nazwać można piwnicę bez okien. Zastępowały je u samej góry dziury wybite w murze na szerokość jednej cegły. Powietrze było stęchłe, zadu-szne, a ze wszystkich kątów odzywały się przeciągłe od-dechy i chrapania — izba przepełniona była śpiącymi ludźmi. Nowo-przybyłych przepędzono do drugiej, ta-kiej samej, tylko pustej jeszcze prawie. Strażnik nic nie mówiąc, odwrócił się i poszedł, zostawiając ich w ciemno-ści. Pomimo, że było ich kilkunastu, nikt rozpaczliwe-go milczenia nie przerywał. W końcu wyrwało się z kilku piersi ciężkich kilka westchnień, kilka łkań bole-snych odbiło się o mury.

Towarzysz Janka szepnął mu:

— Klęknij, pomódlmy się!

Potem, na temże miejscu, gdzie się pomodlili z głę-bi duszy, pożyli się do snu, na gaści słomy, która leżała na podłodze. Janek nadzwyczaj znużony przebytymi wrażeniami i drogą na trzęsącym, niewygodnym wozie, usypiał już, gdy rozbudził go dziwny dźwięk jakiś, niby żelaznego łańcucha, czy kluczy; nie umiał sobie wytłó-maczyć tego odgłosu, który go przecież czegoś przeraził.

— Co to takiego? — zapytał.

— Nic, nic, śpij, żebyś miał siły na jutro, to ktoś dzwoni kluczami — uspokajał go pocziwy opiekun — lecz sam poznał, aż nadto dobrze, że to był brzęk kajdan. Wiedział, że i ich czeka ten sam los; wiedział od ojca swego, że niewolnicy tureccy używani do najcięższych robót, pracują mimo to w kajdanach. Spij spokojnie, Bóg czuwa nad nami.

Nie chciał dręczyć biednego dziecka myślą o kajda-nach, dowie się o nich niestety aż nadto prędko! Aż nadto prędko, bo o wschodzie słońca dnia następnego, Janek był już zakuty w kajdany, przy taczce, którą wywozić miał ziemię z głębokiego rowu! W pierwszej chwili szarpał się biedny chłopiec z rozpaczą, jak gdyby myślał, że mu się uda porwać żelazne łańcuchy, pokrwawił ręce i uczuł się bezsilnym w obec tej przemocy. Rozłączono go z do-tychczasowym towarzyszem, owym podolskim wieśniakiem Iwanem Skalką i to go boleśniej jeszcze dotknęło! Iwan poszedł dzwigać kamienie przy budowie muru, któ-rym otaczano ogród baszy, obecnego ich pana. W połu-dnie dano im zaledwie po garści ryżu i kawale placka z kukurydzy.

(d. c. n.)

SZARADA.

Od Aleksandra W. dla Mani i Wańdzy Zaw. w G.

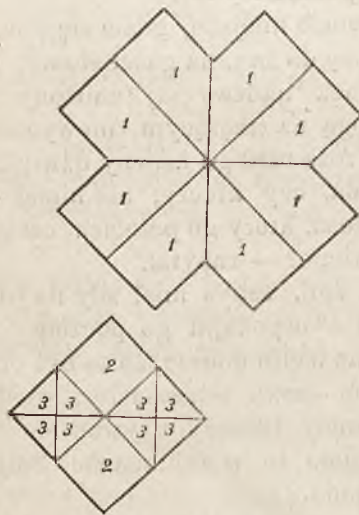
Pierwsza, druga i trzecia jest też głoską zwana
 Czyli w mowie użyta, czy też drukowana.
Pierwsza znowu i *trzecia* instrument muzyczny
 Chociaż w obecnej dobie bardzo już nieliczny.
Czwartą z *piątą* wśród zwierząt wielkich znajdziesz snadnie
 Lecz go w drugim wypadku stawiać tu wypadnie.
 Złóż teraz *wszystko* społem, a otrzymasz miano
 Tego co w jakim kraju śpiewano, pisano,
 Co każdego narodu jest ducha wyrazem,
 Epoki w dziejach jego wiernym jest obrazem.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

Ułożył A. W.

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę domowe.
3. Owad.
4. Miasto w Belgii.
5. Prawodawca Persów.
6.
7. Poeta polski z XVI w.
8. Przylądek w Patagonii.
9. Autor „Pamiętników” z XVII w.
10. Organ zmysła.
11. Samogłoska.

Rząd środkowy poziomo i pionowo złożyć ma nazwisko poety polskiego.



Z powyższych figur ułożyć dwa równe kwadraty.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37.

Zagadki 1-ej: lin — len. 2-ej: Wichura.

Zadania:

Gdy mulla na swoim wielbłądzie przyjechał do trzech braci, zamiast 17 wielbłądów, *wszystkich* wielbłądów było już 18. Mulla wydzielił najstarszemu połowę wszystkich wielbłądów, to jest 9, średniemu trzecią część to jest 6, a najmłodszemu dziewiątą część, to jest 2. Na ośmnastego swojego wsiadł i pojechał dalej. Tak stało się zadość woli starego Araba.

Skrzynka do listów.

Nie myli się Czarny Porucznik, że Redakcyja jaknajchętniej udziela swym czytelnikom wszelkich życzonych objaśnień i wskazówek. To też pośpieszamy mu donieść, że nie wielką, bo w jednym tomie, lecz starannie opracowaną jest znana „Encyklopedia kieszonkowa, którą w cenie rub. 3 bez przesyłki, nabyć można w księgarniach lub za naszym pośrednictwem.

W ostatnich dniach zeszłego miesiąca codziennie spora ilość paczek napływała do redakcyi, a były to roboty naszych kochanych czytelników, przysyłane na ogłoszony przez redakcyę konkurs. Na każdy z dołączonych liścików dla braku miejsca odpowiadać nie jesteśmy w stanie, do kilku zaledwie odezwać się możemy, a więc: Marcie i Halinie K., jak również i Stefci Kr., która pomimo choroby mamy i braku pomocy potrzebnej w tak młodym wieku, stawiała się na wezwanie, dziękujemy w imieniu biednych dzieci za dobre chęci, któremi byłyście ożywione przy wykonaniu robótek. Szczerość P. podobają nam się bardzo: przysyła ona sukienkę, ale ponieważ bez jej wiedzy bona pomogła w szcziu, więc do konkursu należeć nie chce, prosi tylko, by sukienkę oddano jakiejś biednej dziewczynce. Siostrzyczka jej, Jasiuszek z P. przysłała porządnie uszytą koszulkę.

Malinka i Morelka nie myślą również o nagrodzie, a cieszą się tylko, że dzięki ich pracowitości, biedna jaka dziecina obdarzoną zostanie.

Od Mani N. z Lublina otrzymaliśmy dwie koszulki, wraz ze starannie napisanym listem, tylko zakończenie nam się nie podoba, bo jak można przypuszczać, aby tak miły i ciekawy liścik mógł nas znudzić. Prosimy, pisuj częściej. Nagrodę i żadaną książeczkę wręczymy osobie, która się po nie zgłosi.

Na listy Elżuni M., Brońcy W., Różowej Panienci, jak również wielu bardzo innych odpisywać nie możemy, bo musielibyśmy ciągle to samo powtarzać.

Dobre rozwiązania zadań nadesłali: Kazio K., Grusza polna, Zielony listek., Stefan G., Józio i Lutka Z., Pilny chłopczyk i Litterka.

Bardzo się cieszę, że do bukietu przyjaciółek korespondentek, pisujących pod nazwą różnych kwiatków przybyła mi wonna Rezeda. Zawsze i zawsze proszę byście mnie inaczej jak: „Jaskółka” nie nazywały, ceremonialny tytuł pani odrzucam zupełnie. Koszulkę otrzymaliśmy. Pomna uczynionej obietnicy polecam się nadal twojej pamięci.

Gwiazdce złotej. Nie mogę jeszcze donieść komu się dostanie twoja sukienka, dopiero po rozstrzygnięciu konkursu, rozdajemy nadesłane ubrania, ale później udzieli ci żadanego objaśnienia.

Wali S. Odpisałabym z chęcią na „taki długi list”, ale miejsca mam mało. Donoszę ci tylko, że nagrodę wysłano, a sama bardzo jestem rada, żeś się jej otrzymaniem tak ucieszyła. Czy i na konkurs robót przysłałaś coś własnoręcznie uszytego? Na raz następny się odziewam się, że obszerniej do mnie napisać zechcesz.

Serdeczny list Żabiego Oczka był mi wielce miłym. Nie mogę też mieć żalu, za dłuższe milczenie, skoro przyczyną tego była choroba oczu. Wierzę bardzo, że rozdzielenie z mamusią musi być przykre, ale ileż to panienek w tych samych zostaje warunkach! Za własnoręcznie zrobioną spódniczkę biedne dzieci będą z pewnością bardzo wdzięczne. O następny liścik proszę.

Jaskółka.

MAGAZYN DZIECINNY.

JANINY

Marszałkowska Nr. 151.

Stale zaopatrzany w najmodniejsze ubrania dziecinne, poleca: koszule, kalessy, kołnierzyki, mankiety i szelki dla uczeni oraz wszelką bieliznę dziecinną.